

349 dni po Incydencie.

Staliśmy na zboczu wysokiego wzgórza. Najwyższego w okolicy. Przed nami otwierała się monumentalna dolina; wzniesienia okalały ją niczym mur obronny, chroniący zamek. Mało tu było roślinności, drzew prawie w ogóle. Nieliczne krzewy czasem dawały o sobie znać cichym szelestem dochodzącym spod stóp. Słowem – typowy środkowoazjatycki step. Przepiękna kraina, zdawałoby się, przez człowieka nietknięta. Wiatr huczał głośno, rezonując w skalnych szczelinach.

Pułkownik oderwał lornetkę od oczu i w swój charakterystyczny sposób zmarszczył brwi. A przynajmniej wydawało mi się, że tak właśnie zrobił – gęsty mrok otulał wtedy okolicę, czarny całun chmur zakrywał szczelnie gwiazdy. Jedynym źródłem światła były ogniki pochodzące z obozu położonego za naszymi plecami, oraz To. Fenomen.

- Ludzie?

- Z całym szacunkiem, ale szczerze wątpię pułkownikowi. Od czasu Incydentu padła cała elektronika. Nawet jeśli komuś udało się już zrobić działającą lampę, to na pewno nie są to tutejsi wieśniacy.

- Może armia ?

Milczę. Fakt, armia. To na pewno armia, no bo co innego? Moja rozbijała wyobraźnia podsuwała mi wizje rodem z literatury fantastycznej, podczas gdy wyjaśnienie było trywialne. Wystarczyło tylko chwilę się zastanowić.

- Pułkowniku, myśli pan, że to nasi?

- Ja nic nie myślę. Ja widzę – wskazał palcem przed siebie. Ja widzę, że na wzgórzu naprzeciw jest jakieś światło, które jest ewidentnie sztuczne. A takiego nie widziałem od bez mała roku.

Odwrócił się i ruszył w kierunku ognisk dochodzących z naszego obozu.

- Pójdziecie na zwiad. Zobaczycie, wybadacie, wróćcie. Idźcie teraz do obozu i weźcie sobie kogoś do towarzystwa. Przed świtem chcę wiedzieć, co to – rzucił, odwrócony do mnie plecami.

Posłusznie poszedłem śladem starego. Był niski, gruby. Chodząc zawsze bujał się na boki, co wyglądało komicznie. Jakby każdy krok był walką o przerzucenie środka ciężkości na drugą stronę.

Nie lubiłem go. Zawsze wydawał mi się czerstwy, stetryczały. Gderliwy. Taki, co mówi: sto pompek – a sam jednej nie robi.

Idąc, myślałem o Fenomenie.

Czy to na pewno armia ? Nasi ? Jeśli nasi, to po co tu przyszli ? Kto by się przejmował takimi jak my, zagubionym gdzieś w ostępach południowego Turkmenistanu oddziałem pancernym ?.

A może to jednak nie jest wojsko?

Podszedłem do ogniska i od razu zawołałem Andrieja. W dziesięć minut byliśmy gotowi. Zależało nam na czasie. Nie wiedzieliśmy, jak długo tajemnicze światło będzie wisieć nad wzgórzami po drugiej stronie doliny.

- Jest godzina dwudziesta pierwsza zero cztery. Wracajcie jak najszybciej. Jeżeli coś się nie uda i nie będziecie w stanie powrócić o własnych siłach, trudno. Nikt nie będzie szedł wam z odsieczą – powiedział pułkownik, kiedy byliśmy już na skraju światła z ognisk. Pociuszające.

- Jak myślisz, kiedy wrócimy do domu?

Schodziliśmy po zboczach, patrząc raz pod nogi, raz przed siebie, na anomalie. Potykaliśmy się ciągle, bo ledwo co widzieliśmy w tym mroku. Oczy, przyzwyczajone do blasku ognia, nie przystosowały się jeszcze do panującej wokół ciemności.

- Podobno mamy rozkaz, żeby tu stacjonować na czas nieokreślony.

- Sranie w banię, rozkaz. Radio padło. Skąd pułkownik i jego kolesie wiedzą, że nadal mamy tu sterczeć? Ostatnie transmisje, jakie odebraliśmy, mówiły o umieszczeniu wyrzutni rakiet na Kubie. Równie dobrze Moskwa może być zrównana z ziemią, nie wiemy tego. Nic nie wiemy. Błąkami się po stepach jak debile, zamiast iść na północ. Do domu.

- Co sugerujesz?

- Uciec. Wymknąć się w nocy i nie wracać tu.

- To ciekawe. Powiedz mi, czy twój plan uwzględnia pieszą wędrówkę przez kilkaset kilometrów, w tym przez suchą jak pieprz nizinę Turańską? Pustynię Karakum? Nawet jak ukradniesz jakąś ilość zapasów, to nie tyle, żeby przetrwać tak długą podróż – powiedziałem, trochę z przekąsem.

On westchnął.

Kontynuowałem mój wywód:

- Masz rację, nie wiemy nic. Nie wiemy co się dzieje gdzie indziej, w Europie, w Amerykach. Na świecie. Ale to jest właśnie powód, dla którego musimy zostać. Trzymać się razem. Mamy broń, jesteśmy silną, zorganizowaną grupą. Jesteśmy bezpieczni.

Zatrzymaliśmy się na chwilę i odpoczęliśmy w ciszy. Maszerowaliśmy już dobry szmat czasu, a byliśmy raptem w połowie w drogi.

Kiedy znowu ruszyliśmy, zaczęliśmy ponownie szeptem rozmawiać. Teren był już bardziej płaski, więc nie trzeba było się tak bardzo skupiać na tym, by się nie wywrócić.

- Ciekawe co się dzieje teraz w miastach.

- Pewnie chaos, panika, anarchia. Tak przypuszczam. Oczywiście przy założeniu, że ten cały impuls elektromagnetyczny trafił równo do każdego. Pieprzone Słońce. Siedziałbym teraz sobie na swojej działce, gdyby tylko nie zachciało mu się wyładować.

- To chyba nie było Słońce.

- Jak to?

- U nas elektronika padła przecież w nocy.

- Racja, no przecież. W takim razie co to było?

Odpowiedzi nie usłyszałem. Andriej zatrzymał się i przykucnął. Wskazał w moim kierunku dłonią, na znak, żebym się uciszył.

Świetlista kula, mieniająca się nieregularnie, wisiała w bezruchu kilkanaście metrów nad ziemią. Jej blask był oślepiający, mrużyliśmy oczy, ale i tak ledwo dało się na nią patrzeć. Andriej podbiegł do pobliskiej skały i pomachał mi ręką. Dołączyłem do niego. Dało się słyszeć miarowy, niski dźwięk. Przeciągły.

My położyliśmy się na ziemi i patrzyliśmy w to dziwne zjawisko z odległości może dwudziestu metrów. Byliśmy na zboczach, zaś to coś, zawisło nad samym szczytem wzniesienia.

- Co do... – zacząłem, ale urwałem pod wpływem gestu Andrieja.

Tak jak jeszcze chwilę temu rozmawialiśmy spokojnym tonem o położeniu naszego oddziału, tak teraz ciepły pot wstąpił na moją twarz, nogi zrobiły się miękkie, serce stanęło w gardle. Staliśmy twarzą w twarz z nieznanym. Mimo że próbowaliśmy się ukrywać, czułem, że to na nic. Przesiąkała mnie potęga Fenomenu. On doskonale o nas wiedział, o tych

dwóch miernych małych ssakach przyciśniętych do gruntu. Jego majestat emanował na wszystkie strony świata, a my, głupi, próbowaliśmy się przed nim ukryć. Tak, to właśnie wtedy czułem. Moc Fenomenu, która przenikała mnie aż do szpiku kości.

Moje ciało jakby odmówiło mi posłuszeństwa. Nie ruszałem się, nie mrugałem nawet powiekami. Jak kot stojący w bezruchu na drodze, głupio wpatrzony w światła zbliżającego się samochodu, który za chwilę w niego wjedzie.

Z tego dziwnego letargu wyrwało mnie szturchnięcie.

Andriej wskazał na średnich rozmiarów skałę, kilka metrów przed nami. Nie użył słów, ale ja wiedziałem, jaki ma plan – podbiec do następnej przeszkody. Bliżej...

Za nim się zorientowałem, on już przemknął przez dziwny półmrok dzielący mnie i skałę.

Wziąłem głęboki oddech. Policzyłem do trzech. Raz, dwa trzy – pobiegłem w ślad Andrieja.

A kula, chyba się uśmiechała, widząc, jak dwaj ludzie biegają jak głupi od skały do skały, myśląc, że są niewidoczni.

Oparłem się plecami o chłodny głaz i odetchnąłem z ulgą. Spróbowałem spojrzeć przez ramię na anomalie, ale jej silne światło nie pozwoliło mi na to.

Zamknąłem na chwilę oczy i spróbowałem się skupić. Nie udało mi się. Paraliżujący strach tłumił wszystkie myśli. Czułem się, jakbym dostał skurczu wszystkich mięśni. Kończyny mi całkowicie zesztyniały. Mózg jakby zawiesił się pomiędzy „walcz albo uciekaj”. Mimo, że coś nieustannie kazało mi dać nogi za pas, jakaś żołnierska odwaga trzymała mnie w miejscu. Nie była jednak ona na tyle silna, by pozwolić mi podjąć jakieś działanie. Z letargu wyrwał mnie zdecydowany głos Andrieja.

-Idę.

Mimo, że bałem się jak cholera i wiedziałem, że jeśli on teraz się ruszy, to z nami może być koniec, nie protestowałem. Zaakceptowałem tylko ten fakt, po czym moja złęczona świadomość szybko znowu skuliła się w kłębek.

Szczęknął zamek karabinu i mój kompan wyszedł zza skały, wyprostowany. Szedł powoli, celując cały czas w świetlistą kulę. Nie ukrywał się i nie starał się tego robić. Wyprężony i wyprostowany, instynktownie w obliczu zagrożenia usiłował robić wrażenie większego. Maszerował dumnie, jego sylwetka wyraźnie odbijała się na tle intensywnego światła dochodzącego z kuli. Buczenie, jakie ona wydawała, nasilało się jakby z każdym krokiem. Może to było ostrzeżenie?

Kiedy dźwięk urósł już do nieznośnego poziomu, kula zaświeciła jeszcze mocniej, jej jasna aura rozszerzyła się. Sylwetka człowieka została pochłonięta przez oślepiający blask Fenomenu. Dam sobie głowę uciąć, jakkolwiek strasznie to nie zabrzmi – TO COŚ wchłonęło Andrieja.

Teraz już rozumiem, pojąłem to wszystko. Brak prądu na świecie, cofnięcie się cywilizacji o przynajmniej sto lat, świetlistą kulę.

To Oni.

Uratowali nas przed nami samymi.